

Solennie napuszony, pulchny Goguś Mulligan zstąpił z progu u wylotu schodów, niosąc pełną piany do golenia miseczkę, na której leżały skrzyżowane lusterko i brzytwa. Lekki poranny wiaterek podtrzymywał poły żółtego rozpasanego szlafroka za jego plecami. Mulligan wysoko wznosił miseczkę, po czym zaintonował:

– *Introibo ad altare Dei.*

Znieruchomiały, spojrział w dół na ciemne, kręte schody, i krzyknął opryskliwie:

– Chodź tu, Kindź! No chodź, ty strachliwy jezuito.

Uroczyście ruszył naprzód i wszedł na okrągłą barbetę. Odwrócił się, po czym z powagą trzykrotnie pobłogosławił wieżę, najbliższą okolicę i budzące się wzgórze. Zauważywszy Stephena Dedalusa, pochylił się ku niemu i szybko zaczął kreślić w powietrzu znaki krzyża, gulgocząc przy tym gardłowo i kręcąc głową. Naburmuszony, zaspany Stephen oparł się rękami o najwyższy stopień schodów i zmierzzył zimnym spojrzeniem rozedrgane, rozgulgotane, końsko pociągłe, błogosławiące go oblicze oraz nieprzystrzyżone i bynajmniej nieokalające tonsury złociste włosy w odcieniu jasnej słojuwatej dębiny.

Mulligan zerknął na moment pod lusterko, po czym szybko zakrył nim znowu miseczkę.

– Rozejść się, rozkazał surowo.

I zaraz dodał kaznodziejskim tonem:

– Albowiem, o umiłowani moi, oto jest Krystka prawdziwa: ciało, dusza, krew i o rany boskie! Bardzo proszę o nastrojową muzykę. Panowie, zamknijcie oczy. Chwileczkę. Mamy tu mały problem z białymi ciałkami krwi. Bądźcie wszyscy cicho.

Spojrzał z ukosa w górę i przeciągle, delikatnie gwizdnął, jak gdyby dawał komuś sygnał, a następnie znieruchomiał na chwilę w pełnym zachwyty skupieniu. Jego równe białe zęby połyskiwały gdzieś złotymi koronkami. Chryzostom. W ciszy odpowiedziały mu dwa głośnie przenikliwe gwizdnięcia.

– Dzięki, stary, zawołał rażno. To w zupełności wystarczy. Wyłącz prąd, dobra?

Zeskoczył z barbety i otulając nogi fałdami przypominającego sutannę szlafroka, spojrział z powagą na swojego widza. Pulchna, wycieniowana, ponura,

owalna twarz Mulligana przywodziła na myśl znanego dostojnika Kościoła, średniowiecznego mecenasa sztuk pięknych. Na jego ustach bezdźwięcznie wykwitł sympatyczny uśmiech.

– Przecież to farsa, odezwał się wesoło. Znaczy to twoje imię i absurdalne nazwisko starożytnego Greka.

Wskazał Stephena palcem w przyjacielskim, żartobliwym geście, i podszedł do parapetu, śmiejąc się sam do siebie. Dedalus niechętnie ruszył w jego stronę, zatrzymał się w pół drogi i przysiadł na skraju barbety, wciąż mu się przyglądając, a Mulligan oparł lusterko na parapecie wieży, zamoczył pędzel w miseczce, namydlił twarz i szyję, po czym ciągnął dalej rozbawionym głosem:

– Moje imię i nazwisko też brzmi absurdalnie: Malachi Mulligan, dwa daktyle. Ale słysząc w nim helleńską nutę, nie? Jest gibkie i rozbrykane, jak nie przy mierząc taki goguś i koziołek jak ja. Musimy pojechać do Aten. Pojedziesz, jeżeli uda mi się namówić ciotkę, żeby wysupłała dwadzieścia funciaków?

Odłożył pędzel i śmiejąc się z uciechy, zawołał:

– Czy Dedalus pojedzie? Nudny jezuskowaty jezuita.

Urwał i zaczął się starannie golić.

– Powiedz mi, odezwał się cicho Stephen.

– Co, mój ukochany?

– Jak długo Haines będzie mieszkał z nami w tej wieży?

Mulligan odwrócił się przez prawe ramię, eksponując ogolony policzek.

– Boże, on naprawdę jest koszmarny, stwierdził szczerze. Zakuta anglosaska pała. Jego zdaniem nie jesteś dżentelmenem. Boże, ci cholerni Angole. Są tacy nadęci, bo mają forszę i gazy. Bo on studiował w Oksfordzie. A wiesz, Dedalusie, że to właśnie ty masz maniery prawdziwego oksfordczyka? Haines nie potrafi cię rozgryźć. To ja nadałem ci najtrafniejsze miano: jesteś Kindź, ostry jak kindżał.

Ostrożnie ogolił podbródek.

– Przez całą noc bredził coś o jakiejś czarnej panterze, odezwał się Stephen. Gdzie trzyma futerał z bronią?

– Żałosny pomyleniec. Spietrałeś się?

– Owszem, odparł Stephen żywo i z narastającym strachem. Na tym odludziu, w ciemności, z obcym facetem, który majaczy i stęka, że zastrzeli czarną panterę. Ty ratowałeś tonących, ale ja nie jestem bohaterem. Jeżeli Haines zostanie, wyprowadzę się.

Mulligan zmarszczył brwi, spoglądając na pianę na ostrzu brzytwy. Zeskoczył ze swojej grzędę i zaczął pospiesznie szperać po kieszeniach spodni.

– Zasraństwo, zawołał chrapliwie i niedelikatnie.

Podszedł do barbety, wcisnął dłoń w kieszeń na piersi Stephena i poprosił:

– Udziel nam pożyczki w postaci twej nosościerki, iżbym mógł wytrzeć brzytwę.

Stephen z bólem serca pozwolił mu wyciągnąć swoją brudną, wymiętoszoną chusteczkę do nosa i demonstracyjnie podnieść ją wysoko za róg. Mulligan wytarł brzytwę do czysta, a potem, przypatrując się chusteczce, powiedział:

– Nosościerka barda. Nowy kolor malarski dla irlandzkich poetów: zieleń smarkowa. Prawie czuje się jej smak, no nie?

Ponownie wszedł na parapet i wyrzwał na Zatokę Dublińską, a jego jasno-dębinowe loki kołysały się lekko niczym kłosa.

– Jezus, powiedział cicho. Czy morze nie jest takie, jak powiada Algy, czyli że to nasza kochana siwa matka? Smarkozielone morze. Mosznykurczące morze. *Epi oinopa ponton*. Ach, ci Grecy, Dedalusie. Muszę cię w nich podszkolić. Musisz ich przeczytać w oryginale. *Thalatta! Thalatta!* Morze to nasza wielka, kochana macierz. Chodź tu, popatrz na nią.

Stephen wstał i podszedł do parapetu. Oparł się o niego, a potem spojrział w dół na wodę i statek pocztowy, który wychodził właśnie z portu Kingstown.

– Nasza potężna matka, rzekł Mulligan.

W jednej chwili przeniósł badawcze spojrzenie swoich wielkich oczu z morza na twarz Stephena.

– Moja ciotka uważa, że to ty zabiłeś swoją matkę, powiedział. Dlatego nie pozwala mi się z tobą zadawać.

– Ktoś ją zabił, i owszem, odparł ponuro Stephen.

– Do diabła, Kindź, mogłeś uklęknąć, skoro prosiła cię o to umierająca. Czuję się tak samo hiperborejskim nadczłowiekiem jak ty. Ale pomyśleć tylko, że twoja mama, wydając ostatnie tchnienie, błagała, żebyś uklęknął i pomodlił się za nią, a ty jej odmówiłeś. Jest w tobie coś złowrogiego...

Umilkł, żeby raz jeszcze namydlić trochę drugi policzek. Wykrzywił wargi w pobłażliwym uśmiechu.

– Urodziwy komediant i tyle, mruknął do siebie. Kindź, najurodzniejszy ze wszystkich komediantów.

Golił się dokładnie i starannie, w milczeniu, z powagą.

Wsparty łokciem na wyszczerbionym granicie Stephen przytknął dłoń do czoła i wbił wzrok w strzępiący się mankiet rękawa swojej czarnej wyświeconej marynarki. Serce przeszywał mu ból, nie był to jednak jeszcze ból miłości. Po śmierci przysła do niego we śnie, bez słowa, jej wynędzniałe ciało w luźnym brunatnym giele zalatywało woskiem i drewnem różanym, a oddech wilgotnym popiołem, gdy pochyliła się nad synem w milczeniu i z wyrzutem. Wzdłuż brzegu wytartego mankieta ciągnęło się morze, które ten stojący obok dobrze odkarmiony facet wysławiał jako wielką kochaną matkę. Matowozieloną

płynną masę okalał pierścień zatoki i horyzontu. Przy matczynym łożu śmierci biała porcelanowa miseczka z zielonkawą kleistą żółcią, którą matka wyrывała ze swojej gnijącej wątroby w głośnych, jęklivych atakach torsji.

Mulligan ponownie wytarł brzytwę.

– Ach, ty biedny bezdomny psie, odezwał się dobrodusznie. Muszę ci podarować koszulę i kilka nosocierek. Jak tam te twoje galoty z drugiej ręki?

– Całkiem dobrze leżą.

Mulligan zaatakował brzytwą dołeczek pod dolną wargą.

– Przecież to farsa, stwierdził z zadowoleniem, powinno się raczej mówić, że są z drugiej nogi. Ale jeden Bóg wie, czy nie pozbył się ich jakiś syfilityczny miglanc. Mam takie śliczne szare spodnie w cieniuteńkie paseczki. Będziesz w nich wyglądał jak malowanie. Nie żartuję, Kindź. Do licha, przyzwicie ubrany prezentujesz się naprawdę morowo.

– Dziękuję, odrzekł Stephen. Jeżeli są szare, to nie mogę ich nosić.

– Nie może ich nosić, Mulligan zwrócił się do własnej twarzy w lusterku. Ma swoje zasady. Morduje rodzoną matkę, ale nie włoży szarych spodni w żalobie.

Zręcznie złożył brzytwę i opuszkami palców przeciągnął po gładkiej już skórze.

Stephen odwrócił wzrok od morza i spojrział na pulchne oblicze o rozbieganych dymnoniebieskich oczach.

– Ten facet, z którym byłem wczoraj wieczorem w tawernie Ship, powiedział Mulligan, twierdzi, że jako ekscentryk cierpisz na o.p.s. Pracuje w wariatkowie, w Richmond, z Conollym Normanem. Na ogólne porażenie szaleństwem.

Zakreślił w powietrzu półkole lusterkiem, aby za pomocą odbijającego się w nim słońca, które zaczęło połyskiwać na wodzie, wysłać tę wiadomość w szeroki świat. Faliste wargi odsłoniły w uśmiechu ogolonej twarzy czubki białych lśniących zębów. Silnym, mocno zbudowanym cielskiem Mulligana wstrząsnął śmiech.

– Przyjrzyj się sobie, ty potworny bardzo.

Stephen pochylił się naprzód, zerknął w rozszczepione krzywą rysą lusterko i włosy stanęły mu dęba. Jak widzi mnie on i inni. Kto wybrał mi tę facjatę? Pysk bezdomnego psa, którego należy uwolnić od pasożytów. Ona też mi zadaje to pytanie.

– Lusterko zwędziłem z pokoju posługaczki, oznajmił Mulligan. Oddaje jej sprawiedliwość. Ciotka zawsze zgadza nieciekawe służące dla Malachiego. Nie chce wodzić go na pokuszenie. A dziewczyna ma na imię Ursula.

Roześmiał się raz jeszcze, po czym odsunął lusterko sprzed spoglądających w nie oczu Stephena.

– Wściekłość Kalibana, który nie widzi swojej twarzy w zwierciadle, powiedział. Szkoda, że Wilde już nie żyje i nie może cię zobaczyć.

Stephen cofnął się, wyciągnął palec i stwierdził z goryczą:

– To symbol irlandzkiej sztuki. Pęknięte lustro służące.

Mulligan nagle wziął Stephena pod rękę i zaczął obchodzić z nim wieżę dookoła; brzytwa i lustro klekotały mu w tej kieszeni, do której je sobie wcisnął.

– Nieładnie z mojej strony, że tak się z tobą droczę, co, Kindź? zagadnął dobrotnie. Bóg wie, że masz w sobie więcej animuszu niż jakikolwiek inny irlandzki pisarz.

Znowu odparował szych. Boi się lancetu mojej literatury, tak jak ja jego. Zimnej stalówki.

– Pęknięte lustro służące. Powiedz to temu oksfordczykowi z dołu, temu wołu z pozłaczanymi rogami, i naciągnij go na gwineę. Ma forsy jak lodu i nie uważa cię za dzentelmena. Jego stary zbił majątek, sprzedając jalapę Zulusom, albo na jakimś innym paskudnym szwindlu. Boże, Kindź, gdybyśmy tylko umieli współpracować, może udałoby się nam coś zrobić dla tej wyspy. Zhellenizować ją.

Ramię Cranly'ego. Ramię Mulligana.

– I pomyśleć tylko, że musisz zebrać u tych świń. Ja jeden wiem, jaki jesteś. Dlaczego nie chcesz mnie obdarzyć większym zaufaniem? Masz do mnie jakieś żale? Chodzi ci o Hainesa? Jeżeli będzie rozrabiał, sprowadzę tu Seymoura i pochlastamy mu łachy gorzej niż tamci wtedy Clive'owi Kempthorpe'owi.

Krzyki forsiastych młodzieńców w mieszkaniu Kempthorpe'a. Blade twarze, najeżdźcy: trzymają się pod boki ze śmiechu, obejmują jeden drugiego, O, niech ja skonam! Przekaż jej tę wiadomość delikatnie, Aubrey! Skonam ze śmiechu! Strzępy jego pociętej koszuli chłuszczą pustą przestrzeń, gdy w opuszczonych do kostek spodniach skacze i kuśtyka wokół stołu, ścigany przez Adesa z kolegium Magdalen, dzierzążącego w rękę nożyce krawieckie. Pozłaczany marmoladą pysk przerażonego cielca. Nie ściągajcie mi spodni! Zabraniam wam, nie wylupiajcie się!

Krzyki przez otwarte okno ploszą wieczór na kwadratowym dziedzińcu. Głuchy ogrodnik w fartuchu i masce ochronnej, w której wygląda niczym Matthew Arnold, pcha kosiarkę na ponurym trawniku, kątem oka przyglądając się roztańczonym plamkom ściętych źdźbeł.

My sami, Sinn Féin... Nowy poganizm... Omphalos.

– Niech zostanie, powiedział Stephen. Jest w porządku, przeszkadza mi tylko w nocy.

– No to o co chodzi? spytał zniecierpliwiony Mulligan. Wykrztuś to wreszcie. Jestem z tobą całkowicie szczerzy. Co ty tam znowu masz do mnie?

Przystanęli, żeby popatrzeć w stronę obłego przylądka Bray Head spoczywającego na wodzie niczym pysk śpiącego wieloryba. Stephen w milczeniu uwolnił rękę z uścisku Mulligana.

– Chcesz, żebym ci powiedział?

– Tak. O co ci chodzi? Nie przypominam sobie, żeby coś się stało.

Spojrzał Stephenowi w oczy. Mulliganowe czoło owiał łagodny wietrzyk, delikatnie rozdmuchując mu nieuczესane jasne włosy i ożywiając srebrzyste ogniki niepokoju w jego oczach.

Przygnębiony własnym głosem Stephen zapytał:

– Pamiętasz dzień, kiedy odwiedziłem cię pierwszy raz po śmierci mojej matki?

Mulligan natychmiast zmarszczył brwi.

– Co? Gdzie? Nic nie pamiętam. Wyłącznie idee i wrażenia zmysłowe. A dlaczego? Co się wtedy stało, w imię boże?

– Parzyłeś akurat herbatę i poszedłeś po więcej gorącej wody. Wtedy z salonu wyszła twoja mama i jakiś jej gość. Zapytała, kto jest u ciebie w pokoju.

– Tak? I co odpowiedziałem? Nie pamiętam.

– Odpowiedziałeś: „Och, to tylko Dedalus, którego matka zdechła jak zwierzę”.

Na policzek Mulligana wystąpił rumieniec, czyniący go młodszym i bardziej czarującym.

– Naprawdę? No to co? A cóż w tym złego?

Otrząsnął się nerwowo, by pozbyć się skrępowania.

– A co znaczy śmierć, zapytał, twojej matki, twoja albo moja? Ty widziałeś tylko swoją umierającą matkę, a ja codziennie widzę ludzi, którzy wyciągają kopyta w szpitalu Mater albo w Richmond i których sieka się potem w sali sekcyjnej jak flaki wołowe. Śmierć jest zwierzęca i tyle. Po prostu nieważna. Nie chciałeś uklęknąć, żeby się pomodlić za swoją mamę, kiedy cię o to prosiła na łożu śmierci. Dlaczego? Bo masz w sobie te przekłete jezuickie skłonności, tylko że zaszczepiono ci je nie tam, gdzie trzeba. Dla mnie to wszystko jest zwierzęcą farsą. Płaty mózgowe pacjentki przestały funkcjonować. Na lekarza mówi „sir Peter Teazle” i próbuje zbierać jaskry z poszwy. Ustępuj jej, dopóki nie będzie po wszystkim. Ukrzyżowałaś ostatnie przedśmierne życzenie konającej, a obrażasz się na mnie, bo nie skomłę jak wynajęty płaczek od Lalouette’a. To absurd! Być może faktycznie wyraziłem się w ten sposób, nie chciałem jednak znieważać pamięci twojej matki.

W miarę jak mówił, nabierał większej śmiałości. Osłaniając rany, które słowa Mulligana zadały jego sercu, Stephen odpowiedział bardzo zimno:

– Nie chodzi mi o to, że znieważyleś ją.

– Więc o co?

– Że znieważyłeś mnie.

Mulligan odwrócił się na pięcie.

– Och, ten facet jest nie do wytrzymania! zawołał.

Odszedł szybkim krokiem wzdłuż parapetu. Stephen pozostał na swoim posterunku, spoglądając ponad spokojnym morzem w stronę przylądka. I morze, i przylądek zrobiły się niewyraźne. Krew pulsowała Stephenowi w oczach, mącąc wzrok, poczuł, że pałają mu policzki.

Z wnętrza wieży zabrzmiał donośny głos:

– Jesteś tam, Mulligan?

– Już idę.

Po chwili Mulligan znów zwrócił się do Stephen'a i powiedział:

– Popatrz na morze. Co je obchodzi zniewagi? Daj sobie spokój z Loyolą, Kindz, i chodź na dół. Nasz anglosaski zdobywca, Sassenach, łaknie porannego boczku.

Jego głowa ponownie znieruchomiała na chwilę już na szczycie schodów, na wysokości dachu.

– Nie gryź się z tego powodu przez cały dzień, powiedział. Nieważne, co ja myślę. Odrzuć lękliwe smutki.

Głowa Mulligana zniknęła, ale ze schodów dobiegał teraz dudniący, basowy pomruk jego wędrującego coraz niżej głosu:

Nie myśl o smutkach, odrzuć lęk.

Pośród sekretów serca złóż

kochania piołunowy dziw.

Fergus to pan mosiężnych piast...

Z klatki schodowej w spokoju poranka bezszelestnie wypływał leśny mrok, kierując się w stronę morza, na które patrzył Stephen. Lustro wody w zatoce i poza nią ostro białło, gdy przebiegały po nim lekkie stopy, obute jedynie w światło. Pan mglistobiałych wodnych grzyw. Biała pierś ciemnego morza. Akcenty splatają się po dwa. Struny harfy szarpie dłoń, która łączy splatające się akordy. Spienione, skoligacone słowa połyskują bielą na ciemnej fali przyływu.

Słońce zaczęła powoli zasłaniać chmura, ocieniając zatokę ciemniejszą zielenią. Leżała za jego plecami, czara wody goryczy. Pieśń Fergus'a; wyśpiwywałem ją samotnie w domu, przeciągając długie mroczne akordy. Drzwi do pokoju matki były otwarte: chciała słuchać mojej muzyki. Podszedłem do niej oniemiały z przerażenia i żalu. Płakała w tym nieszczęsnym łóżku. Z powodu tych słów, Stephenie; nad kochania piołunowym dziwem.

Gdzie ona teraz jest?

Jej sekrety; stare wachlarze z piór zdobione frędzelkami, przypudrowane piżmem karnety balowe, bursztynowe paciorki błyszczącego różańca w zamkniętej na klucz szufladzie. Jak była mała, w słonecznym oknie jej domu wisiała ptasia klatka. Słyszała starego Royce'a w przedstawieniu o Turko Groźnym i śmiała się z innymi widzami, gdy śpiewał:

*Jam jest ów młodzian,
co zostanie odzian
w niewidzialność.*

Fantasmagoryczna radość, złożona i schowana; piżmoperfumowana.

Pośród sekretów serca złoż...

Złożona i schowana w pamięci natury razem ze swoimi zabawkami. Jego pogrążony w zadumie umysł osaczają wspomnienia. Szklanka wody z kranu po przyjęciu sakramentu. Wypestkowane jabłko pełne brązowego cukru, piekące się dla niej w kominku pewnego posępnego jesiennego wieczoru. Jej kształtne paznokcie czerwone od krwi rozgniecionych wszy z dziecięcych koszul.

Po śmierci przyszła do niego we śnie, bez słowa, wynędzniałe ciało w luźnym brunatnym giele pachniało woskiem i drewnem różanym, a oddech wilgotnym popiołem, gdy pochyliła się nad nim, bezgłośnie wypowiadając tajemnicze słowa.

Szkliste oczy, patrzące już zza grobu, by wstrząsnąć moją duszą i złamać ją. Tylko na mnie. Upiorna świeca, żeby oświetlała jej agonię. Upiorne światło na umęczonej twarzy. Chrapliwy głośny oddech, rzęziła z przerażenia, kiedy wszyscy modlili się na klęczkach. Patrzyła mi w oczy, żeby mnie powalić na kolana. *Liliata rutilantium te confessorum turma circumdet: iubilantium te virginum chorus excipiat.*

Ty demonie cmentarny! Trupojadzie!

Nie, mamó. Daj mi spokój, daj mi żyć.

– Ahoj, Kindź!

Z wnętrza wieży dobiegł śpiewny głos Mulligana. Rozległ się ponownie, zbliżał się. Stephen, wciąż rozedrgany od krzyku swojej duszy, usłyszał ciepłe, płynne światło słoneczne, a za plecami przyjazne słowa.

– Dedalus, ty ślamazaro, bądź tak miły i zjeżdż na dół. Śniadanie gotowe. Haines przeprasza, że nas wczoraj obudził. Już wszystko dobrze.

– Idę, odpowiedział Stephen, odwracając się.

- To chodź, na litość boską. Na moją litość i na litość nas wszystkich. Głowa Mulligana zniknęła i pojawiła się znowu nad schodami.
- Powiedziałem mu o tym twoim symbolu sztuki irlandzkiej. Mówi, że to szalenie błyskotliwy koncept. Naciągnij go na tego funciaka, co? Znaczy na gwineę.
- Dziś rano dostaję pensję, odpowiedział Stephen.
- Szkolny łup? Ile? Cztery funciaki? Pożycz no jednego naszej osobie.
- Jak chcesz, odparł Stephen.
- Cztery błyszczące suwereny, zawołał z zachwytem Mulligan. Pójdziemy na wspaniały durch, żeby zadziwić druidycznych druidów. Cztery suwereny wszechmogące.

Wyrzucił ręce w górę i ciężkim krokiem zbiegł po kamiennych schodach, fałszując z cockneyowskim akcentem:

*O, czy nie będzie nam wesoło
pić whiskey, piwo i wino w koło
w koronacji
w koronacji dzień?
O, czy nie będzie nam wesoło
w koronacji dzień?*

Ciepłe słońce weseli się nad morzem. Na parapecie świeciła niklem zapomniana miseczka do golenia. Dlaczego miałbym ją znieść na dół? Może raczej niech zostanie tu na cały dzień, zapomniana przyjaźń?

Podszedł bliżej, przez chwilę trzymał naczynie w dłoniach, dotykając jego chłodu i czując woń kleistej jak ślina piany, w której sterczał pędzel. W ten sam sposób niosłem kiedyś kadzielnicę w Clongowes. Jestem teraz inny, a przecież taki sam. Ministrant. Też sługa. Sługa służącego.

W pogrążonym w półmroku kopulastym salonie wieży wciąż okryty szlafrokiem Mulligan krzątał się żwawo wokół paleniska, na przemian odsłaniając i zasłaniając jego żółty blask. Przez wysokie otwory strzelnicze padały na kamienną posadzkę dwa snopy łagodnego światła, a w ich punkcie styczonym unosił się obłok węglowego dymu i wirujące opary smażonego tłuszczu.

- Udujemy się, powiedział Mulligan. Haines, otwórz drzwi, dobrze?

Stephen postawił miseczkę do golenia na szafce kuchennej. Z hamaka, w którym siedział, podniósł się wysoki mężczyzna, podszedł do drzwi i uchylił ich wewnętrzne skrzydła.

- Masz klucz? - spytał.
- Dedalus ma, odparł Mulligan. O jerum, duszę się.

Nie podnosząc wzroku znad ognia, ryknął:

– Kindź!

– Jest w zamku, odpowiedział Stephen, podchodząc bliżej.

Klucz obrócił się dwukrotnie w chrapliwym zgrzytem, a kiedy ciężkie odrzwia zostały otwarte na oścież, do wnętrza wtargnęły mile widziane światło i rześkie powietrze. Haines wyrzwał z progu na zewnątrz. Stephen przyciągnął swoją ustawioną zatraskami do góry walizkę bliżej stołu, usiadł na niej i czekał. Mulligan wrzucił smaženinę na półmisek, który miał pod ręką, zaniósł go wraz z dużym imbrykiem na stół, ciężko postawił naczynia i odetchnął z ulgą.

– Cieknie ze mnie, jak powiedziała świeca, kiedy... Ale sza. Ani słowa więcej na ten temat. Nie śpij, Kindź. Chleb, masło, miód. Wejdz, Haines. Żarcie gotowe. Pobłogosław nas, Panie, i te Twoje dary. Gdzie cukier? Rany koguta, nie ma mleka.

Stephen przyniósł z szafki bochenek chleba, słoik miodu i maselniczkę. Mulligan usiadł, nagle rozzłoszczony.

– Co to za burdel? powiedział. Kazałem jej przyjść po ósmej.

– Możemy wypić czarną, odrzekł Stephen. W szafce jest cytryna.

– Och, niech diabli porwą ciebie i te twoje paryskie fanaberie, rzucił Mulligan. Chcę mleka z Sandycove.

Haines wrócił od drzwi i powiedział cicho:

– Baba z mlekiem idzie już na górę.

– Niech ci Bóg błogosławi, zakrzyknął Mulligan, zrywając się z krzesła. Siadaj. Nalej no herbaty. Cukier jest w torebce. Macie tu, nie będę się dłużej pieprzyć z tymi jajkami.

Porozcinał usmażone jajka na półmisku i rozrzucił je na trzy talerze, mówiąc:

– *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.*

Haines usiadł, żeby nalać herbatę.

– Po dwie kostki na głowę, powiedział. Ależ ty parzysz mocną, Malachi, słowo daję.

Piłując chleb na grube pajdy, Mulligan odezwał się przymilnym głosem starszki:

– Bo jak se robie herbate, to herbate, powiedziała stara Groganowa. A jak siki, to siki.

– Na Jowisza, to jest prawdziwa herbata, rzekł Haines.

Mulligan piłował dalej chleb i gadał przymilnym głosem.

– „Taka już jezdem, pani Cahill”, powiada Groganowa. „Na miły Bóg”, pani Cahill na to, „tylko nie daj Boże, żeby i do sików, i do herbaty używała pani tego samego naczynia”.